

## MAREK ŻMIGRODZKI

ur. 1946; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Projekt Lublin. Opowieść o mieście, nauka, muzyka, sport, AZS Lublin, siatkówka, zespół braci Żmigrodzkich, profesor Kalinowski, granie w lokalach, Janusz Mandziuk, szkoła, warunki w szkole, pani Josiopowiczowa, Liceum im. Staszica, Aleksander Strycharzewski, klub Stavett, pchnięcie kulą, treningi

### To były czasy mieszana sportu, nauki i muzyki

Jak się uczyłem, to uczyłem się do zatracenia, tak, że później miałem stypendium naukowe - ale to później będę chciał do tego wrócić. Wszyscy uprawialiśmy sport, brat najstarszy jeździł na rowerze, natomiast myśmy ze średnim bratem uprawiali siatkówkę. W pierwszej lidze graliśmy. Pięćdziesiąt kilka lat temu weszliśmy do pierwszej ligi, aż to dziw! Pięćdziesiąt dwa lata temu weszliśmy do pierwszej ligi, AZS Lublin, byliśmy dumni. Na święta klub dał nam dziesięć czekolad, żebyśmy się dożywiali i mieli siłę trenować. Dostawialiśmy też bony na obiady. Tu była taka restauracja, nazywała się „Polonia”. Jej już nie ma. Naprzeciwko Świętego Ducha. Tam zamawialiśmy po kilka drugich dań – przepraszam, że o takich dziwnych rzeczach mówię, ale to żeby się najeść po prostu i mieć siłę. I zamawiało się najdroższe dania. Pamiętam dwadzieścia cztery złote kosztowała polędwica z frytkami i z zielonym groszkiem, i z pieczarkami. Jak nam to smakowało! Skończyłem kurs na sędziowanie zawodów siatkarskich, i tam były wówczas jakieś diety. Nie było to dużo, ale zawsze coś tam było. No i oczywiście ojciec wszystkich nas uczył języków obcych i muzyki. No, ale mój Boże, póki żył, to miał na korepetycje. I ja przez pierwszy rok czy dwa, jak ojciec korepetytora wynajmował, to się na tyle nauczyłem muzyki, że już trochę brzdąkałem, ale jeszcze nut nie znałem. Ale najstarszy brat, który zresztą wygrał Konkurs Chopinowski na pianinie na terenie województwa lubelskiego, zakwalifikował się do dalszego etapu, on był najbardziej wykształcony muzycznie i on nas młodszych uczył. Nauczył mnie pewnych akordów po prostu, co po czym, jaki akord idzie. I w ciemno można było z zamkniętymi oczami grać na instrumencie, on mnie tego nauczył. Jak miałem czternaście lat, to zarobiłem pierwsze pieniądze. I to duże. Na poczcie tutaj był Sylwester. Wynajęli zespół braci Żmigrodzkich. Grałem na pianinie, średni brat na trąbce, najstarszy grał na klarncie i

na akordeonie, i występowaliśmy. Pamiętam jak dziś – zarobiłem tysiąc złotych. Tysiąc złotych w sytuacji, kiedy mama jako sekretarka w zespole adwokackim zarabiała siedemset sześćdziesiąt złotych miesięcznie. To jak ja czternastoletni chłopak zarobiłem tysiąc, to ja byłem wielki pan! Ja sobie mogłem kupić spodnie, w szkole opłacałem komitet rodzicielski, obiady wykupywałem, książki sobie opłacałem. I wtedy dopiero mogłem po raz pierwszy pojechać na wakacje. I wtedy chcieli mnie wyrzucić ze szkoły! Pan profesor Kalinowski, zacny człowiek w sumie, ale prawdopodobnie chciał mnie wyrzucić. Za co? Że uczeń czternasto- piętnastoletni gra po nocach. Grałem rzeczywiście - „Kosmos”, takie kino było, tam na sylwestra grałem, „Drukarnia”, której już nie ma, tam też żeśmy grali z bratem na sylwestra, w liceum plastycznym też żeśmy grali wielokrotnie, „Agrotechnice”, w wielu miejscach graliśmy. Powiem szczerze, nieźle zarabiałem. Ale podpadłem panu profesorowi, który dowiedział się i mówi: „Będziesz grał na sylwestra w szkole”. Ja mówię: „Panie profesorze, niech pan mnie zrozumie. Ja na sylwestra zarabiam trzy pensje pańskie, czy cztery”. Bo rzeczywiście tak było, dwa tysiące złotych zarabialiśmy, bo byliśmy dobrym zespołem z braćmi. Mówię: „Proszę mi nie kazać. Ja stracę zarobek i nie będę miał z czego żyć, opłacić szkoły, książek sobie kupić”. Nie, absolutnie nie było o czym mówić! „Wyrzucę cię ze szkoły”. Ale przyszedł profesor do Staszica, nazywał się profesor Janusz Mandziuk, on uczył wiele lat w Staszicu, zresztą mnie też, i on mówi: „Marek, dopóki ja żyję, to ci nikt krzywdy nie zrobi”. A profesor Kalinowski mówił; „O tu mi kaktus wyrośnie, jak ty skończysz szkołę! O tu mi kaktus...” A profesor Mandziuk mówił: „No, to chyba mu wyrośnie”.

Jak wylądowaliśmy na tej wsi – wieś Sławinek, gmina Konopnica, to tam była szkoła w dwóch budynkach. Tam była taka sytuacja, że w zimę woda zamarzała w wiadrze. Takie były warunki w szkole, i ja do tej szkoły chodziłem. Mało tego, pamiętam incydent jak koleżanka oberwała piórnikiem w łeb od kolegi i pani pyta: „Czego ty ją bijesz?” - „Nie, proszę pani, ja jej nie bije, tylko wyszła jej na czoło taka duża wsza. I ja nie chciałem jej uderzyć, tylko wszę zabić”. Wesz chciał zabić i walnął ja w łeb dlatego. Takie warunki były wtedy. Do szkoły chodziliśmy kawał drogi, nauczyciele różni. Nie mam żalu do nauczycieli, pani Josiopowiczowa świetna polonistka była. Przecież gdzieś w wiejskiej szkole! Taka kobieta, a uczyła w wiejskiej szkole, zresztą to matka późniejszego wybitnego chirurga, znanego profesora. Ale takie to były czasy, do takiej szkoły żeśmy chodzili. I wtedy pamiętam znajomi rodziców mówili: „No, jak on skończy taką szkołę wiejską, to jak on sobie da radę w Staszicu”. Bo Staszic, Zamojski, Unia i Urszulanki, to były cztery takie licea wiodące. I tam się dostać, zresztą raz się dostać, a dwa – utrzymać się w tym liceum, to już były naprawdę wymagania. Tym bardziej, że, jak ja mówię, ten profesor miał taki... po prostu prowadził zespół muzyczny w szkole, zależało mu na tym, ale jak grałem na saksofonie w szkole, to nie mogłem grać i tu, i tu. Nawet go nie potępiam dzisiaj, bo chciał się wykazać pracą przed dyrekcją, że on zespół prowadzi. Ze szkoły dostałem saksofon, [później] zabrali mi zresztą ten saksofon, musiałem sobie sam kupić

instrument. Ale tu nie ma grajka i jest kłopot. Ale mówiono tak: „Jak on sobie da radę w Staszicu? W takiej szkole, po szkole wiejskiej”. Słyszałem te rozmowy rodziców ze znajomymi. I pomyślałem sobie - nie, ja sobie dam radę. A w tym momencie już ojciec konał, było kwestią tylko którego tygodnia, którego miesiąca umrze. Normalnie, to rodzice chodzą z dziećmi na egzamin wstępny. A u mnie nikt, ojciec chory, zresztą zmarł zaraz później. Brat ze mną poszedł. I ja się zapałem wtedy w tej szkole i na pierwszy okres byłem pierwszy w klasie i ósmy w całej szkole, w Staszicu, z wynikami nauki. No, to było takie duże zaskoczenie. Dla mnie zresztą też było, bo ja się uczyłem za wszelką cenę, żeby tylko nie dać plamy. Widać taka ambicja w człowieku była. No, a później, to miałem to zacięcie sportowe. Był pan profesor Aleksander Strycharzewski, on prowadził siatkówkę w klubie Stavett, dlaczego Stavett – Staszic i Vetter. Staszic, to była męska, a Vetter, to była żeńska siatkówka. Zresztą taka Porzec grała, to reprezentantka Polski była nawet później. Ale i on miał z nami sukcesy, myśmy zajęli trzecie miejsce w Polsce w mistrzostwach młodzików, to był duży sukces, i wtedy dla mnie siatkówka, to była czymś wspaniałym! To było dla mnie drugie życie, drugi dom. Chodziłem na treningi, mało tego, żeby wzmocnić kondycje zacząłem chodzić na kosz, ale już nie dałem rady, organizm nie wytrzymał, rzuciłem tego kosza. Zajmowałem się lekkoatletyką też, i wysłali mnie na mistrzostwa szkół. Dali mi kule do ręki i wygrałem zawody w kuli. Trzeci byłem w dysku i piąty w oszczepie. No to się zachęciłem. Były takie lekkoatletyczne czwartki. Tak pchnąłem kulę, że następny z zawodników był o prawie metr za mną. Przyszedł do mnie jakiś łowca talentów prawdopodobnie i mówi: „Słuchaj, widzę masz talent do kuli, ja się tobą zajmę będziesz...” Ale z kolei ja miałem świadomość tego, bo ja nie byłem dobrze zbudowany wtedy, urosłem siedemnaście centymetrów w ciągu roku i wiedziałem, że żeby kulą pchać i mieć wyniki ogólnopolskie, to trzeba ważyć ze sto pięćdziesiąt kilo. A poza tym pokochałem siatkówkę już. Już za daleko wszystko zaszło. Mówię: „Bardzo dziękuje” – „Nie, ja wezmę twój adres, może się zdecydujesz.” Ale już się nie zdecydowałem. Kulą pchałem, rzucałem dyskiem, ale to dla przyjemności tylko, skupiłem się na siatkówce. Ale tu też był dylemat. Dlaczego był dylemat? Bo grałem na pianinie, na klarnecie i na saksofonie. I teraz tak, żeby dobrze grać na pianinie, to trzeba mieć delikatne dłonie i palce, natomiast trener później, już na studiach, na treningach, kazał nam ćwiczyć, żeby odebrać zagrywkę na palce. Myśmy byli świetnie wyszkoleni technicznie przez profesora Strycharzewskiego i przez przyszłego trenera reprezentacji Polski Jurka Welcza, znakomitego trenera, ale i starszego kolegę. On nam takie ćwiczenia dawał, że myśmy ledwo dychali. Mało tego, robił ćwiczenia - pompki na palcach, żeby nie na rękach, tylko na palcach, żeby wzmocnić palce do odbioru. Do siatkówki było dobrze mieć wzmocnione palce, ale do pianina nie było dobrze, bo nie były elastyczne i technika szwankowała. Ale mówię, to, że wcześniej sierotą zostałem, to wywołało we mnie taką jakąś aktywność – chciałem być i w sporcie, i w muzyce. Mankament podstawowy taki, że już nie miałem czasu na zajmowanie się sympatiami, i tutaj

prawdopodobnie wiele straciłem, dopiero później na szczęście żonę spotkałem, i to mi wyrównało. To były właśnie czasy mieszania sportu, nauki i muzyki. Zresztą do dnia dzisiejszego są jakieś pamiątki, reperkusje.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2017-04-27, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Joanna Majdanik
<b>Redakcja</b>	Piotr Lasota
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"